

Krzysztof Logan Tomaszewski

(26.XII.2020)

W przedwojennym Konstancinie, w białym jak kartka papieru budynku o tajemniczej nazwie CKiR, mieści się kilkadziesiąt pokoi stworzonych z myślą o starości. Czym ona jest, wie tylko ten, komu dokuczają stawy, kręgosłup, czy banalna zadyszka. Są tutaj gabinety lekarskie, sale z materacami i sprzętem do ćwiczeń z zakresu rehabilitacji, oraz szpital z działem operacyjnym. Kriokomora, stołówka i kawiarnia dopełniają reszty. W labiryncie korytarzy od rana do wieczora, drepczą gromadki starych ludzi. Suną pod ścianami o laskach, przesuwają się na kulach, z finezją przemieszczają się na inwalidzkich wózkach. Niejednemu z rehabilitujących się tu seniorom, śni się zapewne ogromna piłka, na której każą siadać, lub leżąc na materacu podciągając ją stopami do pośladków. Albo rowery stacjonarne, drabinki, i lasery. Nie wspominając o linach zaopatrzonych w uszy, które młode rehabilitantki, zakładają pod brodę, albo na zgiętą w kolanie nogę. Każdy ramol ćwiczy do upadłego. Choć ledwo odrywa ją od ziemi – dobrze wie, że ruch i zabiegi z fizykoterapii, są jedynym sposobem na przetrwanie. W Konstancińskim ośrodku leczą niedowład ciała po przebytych udarach. Zabiegi z fizykoterapii to standard. Bierze się tu ultradźwięki, zabiegi z działaniem pola magnetycznego, krioterapie – czyli leczenie zimnem. Przez dwanaście miesięcy w roku, objawia się tutaj los człowieka. Starość walczy ze wszystkich sił, by przedłużyć swoje istnienie. Choćby o miesiąc, tydzień, godzinę. Cały kompleks otacza las sosen i świerków. Zacisnie tu, beztrosko, jakby prawdziwy świat, ze swymi namiętnościami w ogóle nie istniał, bo do miasta daleko – całe 17 KM. Złudzenie jakich wiele na tym świecie. Wierzymy w to co nierealne - absurdałne, że potrafimy jeszcze kogoś spotkać, zauroczyć, rozkochać w sobie. Że oszukamy kalendarz. Lecz czyż można zwieść czas? Czy można przekupić śmierć, aby zjawiła się po Bożym Narodzeniu? Uwieść ją, by zjawiła się później. Kolejne złudzenie! Ona zjawi się kiedy zechce. Najczęściej przez zaskoczenie. Gdy się tego nie spodziewasz.

Wielu pensjonariuszy, wychodzi często na dymka. Zgroza, że nie rozumieją czym to się kończy. Rakiem trzustki lub płuc. Każdy z nich wierzy, że jest nieśmiertelny.

Pensjonariusze, to w większości ludzie wiekowi. Przypominają spróchniałe, pochylone dęby. Przetrwali zawieruchę wojenną, niejednen rząd, czasy pogardy, odzyskanej wolności. A następnie znów utraconej, i wywalczonej ponownie. Bili się w Powstaniu Warszawskim. Atakowali Monte Cassino. Ginęli pod Włodawą i Kutnem. Jechali ranni na furach, nędznych szkapach, byle dostać się do Warszawy. Po zakończeniu wojny, wychowywali dzieci na porządnym

obywateli. Dawali im przykład jak być chrześcijaninem. By warto być uczciwym. Aby kochać swą ojczyznę, która jest jak matka, której trzeba bronić, opiekować się, wspierać na stare lata. Lecz zjawiają się tutaj nie tylko seniorzy. Czasem pojawia się na korytarzu z kontuzją ścięgna Achillesa znany sportowiec, albo amator tenisa z tenisowym łokciem. Choć to wyjątki. Seniorzy są niby skorodowane auta, z przebitymi oponami, rozprutymi chłodnicami, które zalegają teren zwany skrótem. Tylko niekiedy odwiedza to złomowisko poszukiwacz jakiejś taniej, nadającej się jeszcze do użytku części. Lecz człowiek, to nie wystużone auto. Nikt nie złoży go z powrotem, jak nowe. Starowinki i starcy, podążają wolniutko do recepcji, ustawiają się w dwóch kolejkach, by zapisać się najpierw na badanie u lekarza, a gdy uzyskają upragnione skierowanie na ćwiczenia, wędrują ponownie do recepcji po termin i rozpisany plan przewidzianej rehabilitacji. Ta zaczyna się zwykle w dwa miesiące później, i trwa bite dwa tygodnie.

Ci ludzie miewają się parszywie. A jak można się czuć, kiedy przekroczyło się sześćdziesiąt pięć lat, i więcej, kiedy wszystko ci nawala: od żołądka, po serce. Gdy od wieków leczysz nadciśnienie kilogramami proszków, a zwapniałe kości, uniemożliwiają ci sprawne poruszanie się. Niejeden z nich głęboko wzdycha myśląc: Dni mojej chwały przeminęły! Gdy znów coś zaboli, pozostała mi smarówka, a gdy się przewracasz – zastrzyki z Ketonalu, lub Olfenu. Trzeba się z tym stanem oswoić, a nawet go polubić. O szalonej miłości do migreny, przerośniętej prostaty czy rwy kulszowej – nie ma mowy! Muszę pokochać moje by - passy i wszczepiane w światło naczynia stenty. W moich stareńkich kolanach funkcjonują plastikowe rzepki, a pod skórą tyka cichuteńko rozrusznik. Jak mus, to mus! C' Est la vie. C' Est fini – jak śpiewali w swoich piosenkach francuscy artyści estrady: Edith Piaf, Yves Montand, Charles Aznavour, Juliette Greco. Witaj starości – żegnaj młodości!

Tuż przy bramie wejściowej, zatrzymała się pewnego jesiennego przedpołudnia elegancko przyodziana kobieta. Miała na sobie beżowy płaszcz z prawdziwej wełny, fioletowy berecik, z pod którego spływał kosmyk jasnych włosów, rysunek ślicznie wykrojonych ust, i oczy – jeszcze głodne życia, ciekawe, ciągle zalotne. Mężczyzna, gdy jest wytrawnym znawcą urody kobiecej, od razu to dostrzeże i doceni. Przed laty była piękna, powabna jak zorza. Czuło się, że lubi seks, chciała by ją uwodzić, i sama uwodziła. Jakżeby inaczej. Poznał ją, gdy przed laty, należała do najbardziej popularnych spikerek telewizyjnych. Piękna, typ rosyjski, o przyjemnym, ciepłym tembrze głosu, zapowiadała dzienniki telewizyjne. Teraz nagle przystanęła przed furtką obok opuszczonego szlabanu przy wjeździe dla aut, dostrzegła go, rozpoznała, i przysunęła się na odległość nie większą jak kilka centymetrów. Wydawałoby się, że ich ciała przylgnęły do siebie. Przez moment – jak dawniej, w 1980 roku.

- Zobacz Krzysztofie, gdzie my się spotykamy? - powiedziała spontanicznie. - Tutaj, właśnie tu... ty i ja.

Coś w nim zadrżało. Pomyślał: Zatracona starucha i stary przyk spotykają się na ostatniej randez vous. Mieszkała niedaleko od niego. Zaledwie o

dwie ulice i zakręt. Gdy zobaczył ją na spacerze kilka lat wcześniej, uśmiechnęła się zalotnie po dawnemu i powiedziała: - Może wpadniesz do mnie... na herbatę?

„Herbatka we dwoje „ - przemknęło mu przez głowę. Wszak była taka piosenka. Śliczny filmowy standard zaśpiewany w 1950 roku przez Doris Day, którego cover nagrał potem Tony Bennett.

Próbował się wymigać od jej zaproszenia. Uczynił to niezręcznie. Miał do dawnej kochanki głęboko skrywany żal. 40 lat temu był ciężko zakochany. Ta namiętność spalała go do cna, zatrzuwała mu duszę. Nigdy nie zapomniał kilku scen, które rozegrały się w jej mieszkaniu na Mokotowie. Prześladował go wspaniały łuk jej bioder, zapach skóry, niespieszne pieszczoty, przez lata nosił pod czaszką serię szaleńczych pocałunków, którymi obsypywał jej dorodne piersi. Zapamiętał, gdy leżała na nim czujna, napięta, a po miłości rozluźniona. Za szybko malował niebo na srebrno mokotowski księżyc. Wyjechali w góry. W Zakopanem spędzili tydzień. Zjechał parę razy na nartach w dolinie schroniska na Ornaku. Ona obserwowała go z twarzą bez wyrazu. Wypili herbatę. Zrobili kilka zdjęć. W tle cały w śniegu, patrzył na nich Kominiarski Wierch. Wrócili do pensjonatu na obiad. Snuł po cichu małżeńskie plany, ale nie domyślała się tego. Wyczuwał w niej dozę niezależności, pewną narowistość, a nawet egoizm. Był zapatrzony w nią jak młodzik, ślepy, głuchy, szalony. W końcu podjął decyzję. Rozwiódł się z żoną. To był nieudany związek, jak wiele następnych. Po latach pożałował swojej decyzji. Mężczyzną stał się dopiero w 20 lat później. Gdy dojrzał. Kiedy nauczył się kierować rozsądkiem, nie zaś - hormonami.

Ta druga scena była żywcem wyjęta jak z filmu. Przyjechał na Mokotów wieczorem. Wjechał windą na piętro, zadzwonił. Cisza! Jeszcze raz, drugi i trzeci. W pewnej chwili przyłożył ucho do drzwi i usłyszał wyraźny męski głos.

W życiu nie widział bardziej ponętnej kobiety, pomyślał. Ta była jego trucizną. Piękną, podłą, obłudną kochanką, która potraktowała go jak rzecz. Gdy powracał załamany do domu, przypomniał sobie zdanie ciemnoskórej wokalistki Anity Baker: „Dzisiaj od mężczyzn wymaga się nie tylko, by potrafili zlokalizować clitoris, ale też, by wiedzieli, co zrobić, kiedy już ją znajdują.”

Przez długi tydzień, który wydawał mu się rokiem, starał się wymazać ją z pamięci. Napisał krótki list i położył go na biurku. Ósmego dnia zjawiała się jak gdyby nigdy nic. Zalotna, cała w wełnach, w swoim małym toczeniu na głowie, z pod którego wyglądał jasny kosmyk. Próbowała swoich sztuczek, lecz sprawiła tyle, że nie poczuł nic.

Teraz szczebiotała jak sikorka przed 40 laty, ale już nie było w niej dawnej pewności, raczej nieco maskowanej pokory i doza sztuczności. Coś jednak umarło, i nawet wiedział co, i z jakiej przyczyny.

- Na co chorujesz? - zapytała z przesadną troskliwością.
- Na to co zawsze. Lędźwie.

- A ja, mam rwę kulszową. Okropna rzecz, wiesz. Ból nie do opisania.

- Tu ci pomogą, mają to w małym palcu.

- Może napiszesz coś o nas? – rzuciła na pożegnanie. Czasami cię czytam.

W 7 minut później, już tylko w swoim dresie, przyciągał ortopedyczną piłkę pod pośladki, a gdy to czynił, oczyma wyobraźni ujrzął piękną staruchę, gdy leży w trakcji na wyciągu. Czekala ją jeszcze specjalistyczna kąpiel, a potem masaż.

Raz jeszcze sięgnął pamięcią do odległych czasów, które przeminęły cztery dekady temu. Wieczorami, przed miłością, udawała się do łazienki. Brała kąpiel z wonnymi olejkami, a potem dobiegały go długie, przeciągłe klaskanie skórzanego pasa, którym zmyślna maszyna, masowała jej pupę. Po skończonym seansie, wędrowali tam, gdzie jak dawno temu trafnie zauważyła Brigitte Bardot : „ Spotkamy się prędzej czy później w nim wszyscy – w łóżku”.

Wracając autem do domu, zamyślił się. Czy na wszystko mamy wpływ? – Bynajmniej.

Zostają po nas: pył i wieczny szum traw.